

Anty-socjał

16 grudnia 2008

„Socjalizm” to nie rozdawanie budżetowych środków na prawo i lewo. „Socjalizm” to równość i wsparcie naprawdę potrzebujących.

Toczący się właśnie spór o tzw. emerytury pomostowe to dobra okazja, by zastanowić się nad tym, jak powinna wyglądać polityka na serio prospołeczna i czym się ona różni od może efektownego, lecz nieefektywnego szastania finansami publicznymi, które koniec końców skutecznie obrzydzi wszelki „socjalizm”. A wręcz zaowocuje skrajnie liberalną reakcją, jak to miało miejsce w latach 70., gdy neoliberalni propagandyści celnie wypunktowali błędy popełnione przez apologetów państw opiekuńczych.

Wyjaśnię od razu, że jestem zwolennikiem – i to wielkim – emerytur pomostowych, choć z nieco innych powodów niż te, które legły u podstaw tego rozwiązania. Przyczyną wprowadzenia takich emerytur były w krajach rozwiniętych głównie względy medyczne. Istnieje całkiem sporo zawodów, które wiążą się ze znacznie szybszymi ubytkami zdrowotnymi niż u osób wykonujących inne prace. To zresztą „oczywista oczywistość” – wystarczy odrobina wyobraźni, aby pojąć, że wysiłek górnika nie jest podobny do siedzenia na biurowym fotelu. Podobnie jest nie tylko z pracami w ciężkich, szkodliwych, nienaturalnych warunkach, ale także w sytuacjach, w których narażeni jesteśmy na ponadprzeciętny stres: inna jest praca kierowcy samochodu dostawczego, inna zaś szofera karetki pogotowia. A ludzie nie tylko żołądki, ale też systemy nerwowe mają statystycznie równe.

Sęk w tym, że o ile istnieją zawody, w których przypadku nie ma wątpliwości, że wcześniejsza emerytura nie jest żadnym przywilejem, lecz powinna stanowić elementarne prawo, o tyle przyznanie go innym grupom zawodowym stanowi dobry argument

przeciwko emeryturom pomostowym. Bo między bajki można włożyć opowieści, że praca nauczyciela, mającego około 2 miesiące odpoczynku w skali roku, jest szczególnie uciążliwa w porównaniu choćby z osobą prowadzącą po całych dniach, niemal bez wyjeżdżania na urlop, punkt handlowy czy usługowy. Do tego dochodzi nie mniej ważny, lecz rzadko dyskutowany problem zróżnicowania w obrębie danej branży. Skala stresu i ryzyka jest odmienna w przypadku policjanta z wydziału przestępczości zorganizowanej czy choćby z tzw. prewencji, niż u brzuchatych panów z drogówki czy umundurowanej sekretarki na komendzie. Inna jest praca górnika dołowego, a inna też formalnego górnika, który jednak pod ziemię zjeżdża na godzinę w ciągu zmiany, prowadzić pomiary czy kontrolować stan robót. Jeśli dziś emerytura pomostowa przysługuje również temu drugiemu „górnikowi”, a na emeryturę przejść może każdy policjant z 15-letnim stażem pracy, to rozwiązanie takie nie ma nic wspólnego z troską o słabszych i poszkodowanych, lecz stanowi kreowanie uprzywilejowanej warstwy, która niczym sobie na takie traktowanie nie zasłużyła.

Gdyby mieć na uwadze jedynie te aspekty problemu, byłbym skłonny poprzeć odebranie uprawnień do wcześniejszych emerytur znacznej części zawodów dziś posiadających takową możliwość, a w wielu pozostałych uzależnić ich przyznawanie od orzeczeń lekarskich. I nie byłoby w tym niczego liberalnego – wręcz przeciwnie, wyłącznie chęć eliminacji drastycznych nierówności w traktowaniu różnych grup pracowników najemnych. Ale szczególnie w polskich realiach istnieje czynnik, który sprawia, że być może należałoby się zastanowić nad rozciągnięciem prawa do emerytur pomostowych na wiele kolejnych zawodów, znacznie więcej niż obecnie.

Mam na myśli charakter naszego rynku pracy. To prawda, że w zamożnych krajach pracuje się statystycznie dłużej niż w Polsce. I że myśli się tam o podniesieniu wieku emerytalnego. Ale, po pierwsze, w tych krajach bezrobocie wynosi 3 czy 6 procent, co oznacza, że zwolnieni z pracy w okolicach 50-tki

nie są w sytuacji beznadziejnej, zwłaszcza, iż bezrobocie znacznie rzadziej niż u nas dotyka całe rodziny czy regiony. Działa tam także sprawna, państwowa opieka nie tyle socjalna, co aktywizacyjno-zawodowa, wsparta w dodatku różnymi oddolnymi strukturami integracyjnymi, samopomocowymi, kształceniowymi itp. Tamtejszy nowoczesny rynek pracy jest na różne sposoby okiełznany instytucjonalnie oraz oswojony za pośrednictwem różnych podmiotów społecznych. Tymczasem w Polsce jest dokładnie odwrotnie – u nas utrata pracy już po 40-tce oznacza w bardzo wielu zawodach oraz w nie-metropolitalnych regionach po prostu wypadnięcie za burtę podczas sztormu. Tacy ludzie przegrywają konkurencję z młodymi, dynamicznymi, bardziej sprawnymi i wytrzymałymi. Nie istnieje też żaden sensowny system wsparcia zawodowego (przekwalifikowanie) i – co nie mniej ważne – psychologicznego. W sytuacji, gdy bezrobocie wynosi wciąż ok. 10%, a w wielu regionach jest dwukrotnie wyższe, redukcje zatrudnienia wśród osób w wieku średnio-starszym oznaczają prawdziwy dramat społeczny i osobisty. Ale nie tylko redukcje – na dzikim rynku pracy, w gospodarce szybkich przeobrażeń, którym nie towarzyszy dynamiczna zmiana sposobów wsparcia od państwa, samo nadążanie osób mających pracę za nowymi wymogami nie jest łatwe w przypadku 40-50-latków. W takich sytuacjach emerytury pomostowe dla ogółu pracujących mogłyby funkcjonować jako swego rodzaju szalupa ratunkowa, korzystniejsza z punktu widzenia kondycji społeczeństwa niż bezrobocie i towarzyszące mu patologie. Ale właśnie jako szalupa ratunkowa, chroniąca przed zatonięciem, nie zaś jako wygodny przywilej dla wybrańców, niedostępny innym, choćby znajdowali się w gorszej sytuacji – i właśnie tak należałoby skonstruować ów system.

Oczywiście wiem, że byłoby to kosztowne, nie sądzę jednak, że aż tak bardzo. Po pierwsze, ludzie niekoniecznie rezygnują z pracy, gdy mogą to uczynić – pracują nadal choćby dlatego, że zarabiają więcej niż otrzymają emerytury albo dlatego, że lubią pracować, czy też z przyzwyczajenia i chęci utrzymywania kontaktów międzyludzkich. Po drugie, bo bezrobocie też jest z

punktu widzenia państwa kosztowne, podobnie jak z punktu widzenia prywatnego biznesu (więcej osób bez dochodów to mniej klientów).

Przy okazji emerytur pomostowych pojawia się jednak problem znacznie szerszy. Gdy myślę o ideałach lewicowych czy prospołecznych, mam przed oczami obraz takiego społeczeństwa, w którym troszczymy się o równe szanse i warunki bytowania dla wszystkich, a pomoc kierujemy do naprawdę słabszych, aby podciągnąć ich w górę. Tymczasem obserwując rozmaite środowiska wymachujące symbolicznym „czerwonym sztandarem”, mam wrażenie, że chodzi im o coś zupełnie innego – o to, by każda grupa, która określi się jako słabsza i pokrzywdzona (bez konieczności uzasadnienia tegoż), mogła bez pardonu wyrwać z budżetu dowolne środki, bez oglądania się na inne grupy. Każdy strajk, każda „eskalacja żądań”, zasługują w oczach takich środowisk na wsparcie. W moich nie zasługują.

Znam grupy zawodowe pracujące w trudniejszych i mniej stabilnych warunkach niż nauczyciele, którzy oprócz zagospodarowania dwóch miesięcy wakacji i przepracowania 18 godzin pensum (tak, wiem, zdarza się, że pracują nie 18, lecz 35 godzin – tylko co z tego?) muszą sprawdzić klasówki w domu czy przygotować się do zajęć. Z drugiej wszakże strony, wiem, że ci sami nauczyciele zarabiają przeciętnie mniej niż słabiej wykształcone pielęgniarki, które w nieskończoność „eskalują protesty płacowe”, a przede wszystkim znacznie gorzej niż lekarze zatrudnieni na trzech „etatach” (każdy po 2-3 godziny) w placówkach państwowych i prywatnych, regularnie „odchodzący od łóżek pacjentów”, bo pensja rzędu 8-15 tysięcy złotych nie pozwala im „żyć godnie”. Wiem też i to, że wśród nauczycieli są stale doksztalcający się poloniści i historyczki, muszący zapanować nad „trudną młodzieżą”, ale są też wuefiści, którzy od lat prowadzą zajęcia wedle znanego systemu „mata” – przychodzi taki facet, rzuca piłkę i mówi: mata i grajta, ale się nie pozabijajta. Wiem też, że w nocy pracują nie tylko niektórzy hutnicy i kolejjarze, ale także np. część

sprzedawców, dziennikarzy i taksówkarzy. Ponadprzeciętny stres towarzyszy nie tylko pracy policjanta, ale także niektórym działaniom pracowników prywatnych agencji ochroniarskich. I tak dalej. Tym niemniej, bardzo krytycznie oceniam stosowanie zasady „dziel i rządź” i napuszczanie jednych grup zawodowych na inne, aby przypadkiem nie powiedziały jednym, silnym głosem, że domagają się tego i tego, i potrafiły wspólnie to wywalczyć. Dlatego poza wyjątkowymi przypadkami nie odmawiam prawa do strajku pielęgniarcom, zaś skargi nauczycieli na swą ciężką pracę staram się zrozumieć mimo wspomnianych wątpliwości.

Coraz częściej jednak nachodzi mnie myśl, że w systemie, który istnieje w Polsce, najsłabsi i najbardziej potrzebujący pomocy nie tylko jej nie otrzymują, ale nawet nie stają się przedmiotem zainteresowania rozmaitych środowisk, które teoretycznie zajmują się ich wspieraniem. Nie mówię nawet o grupkach, które na „wywalczeniu” tego i owego budują własną popularność i próbują ugrać swoje trzy grosze – sztandarowym przykładem może tu być znany z niedawnej bezcelowej okupacji biura poselskiego Tuska związek zawodowy „Sierpień '80”, coraz bardziej wyspecjalizowany w żerowaniu na różnych problemach społecznych i robieniu sobie autoreklamy ich kosztem. Niestety, na tę grę pozorów dają się nabierać także grupy i osoby, których szczerłość poglądów prospołecznych nie ulega wątpliwości. Gdyby na serio potraktować ich deklaracje, okazałoby się, że w Polsce 80% społeczeństwa, analizowanego wedle dowolnego kryterium (branże, regiony czy wysokość dochodów), wymaga natychmiastowego wsparcia z budżetu.

Skala biedy i marginalizacji jest w naszym kraju znaczna, ale jeśli ktoś uważa, że pomoc należy niemal wszystkim, to w efekcie nie pomoże nikomu. Nie tylko dlatego, że nie udźwignie tego żaden budżet, nawet bardziej zasobny niż polski i nawet wtedy, gdy wszystkich „burżujów” obłożymy podatkiem dochodowym w wysokości 99%. Przede wszystkim nie uda się to dlatego, że wsparcie bazujące na ideałach równości i sprawiedliwości ma

sens wyłącznie wtedy, gdy trafia do naprawdę potrzebujących. W przeciwnym razie zamiast wcielenia w życie tychże ideałów, mamy nowe przywileje i promowanie cwaniactwa. Tymczasem słabość, ale także wygodnictwo różnych środowisk społecznych w Polsce polega na tym, że nikt nie zastanawia się, komu i jakiego wsparcia należałoby udzielić.

Polscy lewicowcy uwielbiają powoływać się na skandynawski system socjalny. Ja też go cenię, bo zapewnia najwyższy poziom życia na świecie i stabilizację społeczną. Ale ten system działa sprawnie bynajmniej nie dlatego, że na prawo i lewo rozdaje zasiłki. Owszem, zdarzają się tam patologie i nadużycia, ale jednocześnie całość bazuje na uczciwości beneficjentów pomocy, rzetelnych analizach ich sytuacji, a także na sprawnej kontroli. Tymczasem każdy, kto zetknął się z polską tzw. pomocą społeczną lub wie, co kryje się za oficjalnymi wskaźnikami bezrobocia i biedy, wie, że u nas spora część zapomóg trafia w kieszenie nie biedaków, lecz cwaniaków, a znaczna ilość formalnie bezrobotnych ma pracę na czarno i zarabia nierzadko lepiej niż „etatowcy”. Efekt jest taki, że ci, którzy naprawdę potrzebują wsparcia, otrzymują ochłapy, bo tyle zostaje po „równym” rozdzieleniu dostępnej puli.

Taki system to nie socjalizm – to idiotyzm. Zamiast umożliwić przezwycięzenie biedy, on tę biedę konserwuje – wsparcie jest o wiele za małe i niedostosowane do tego, żeby wyrwać kogokolwiek z zaklętego kręgu wykluczenia i wegetacji. W najbliższym numerze „Obywatela” będziemy pisali o tym, jak w Polsce wygląda kwestia mieszkań komunalnych. W teorii miały one zapewniać ubogim dach nad głową i stabilizację bytową, twardy grunt pod nogami. W praktyce jednak raz przyznany lokal jest zajmowany przez daną osobę do końca życia, nawet jeśli w międzyczasie wzbogaciła się ona znacznie. Albo kupuje go ona za 3% wartości rynkowej, bo władze miejskie tylko taki pomysł – sprzedaż za grosze – mają na zagospodarowanie tych zasobów. W tym czasie setki rodzin czekają na jakikolwiek kąt, bo nie

stać ich na zakup żadnego, a inni, trochę zamożniejsi, zadłużają się na 40-letni lichwiarski kredyt, by kupić 35 metrów kwadratowych własnego „em”. To ma być wsparcie potrzebujących i sprawiedliwość? Nie, to absurd do kwadratu i rażąca niesprawiedliwość.

Gdy lewica na całym świecie dokonuje analiz, prowadzi badania, tworzy projekty, pyta fachowców – u nas nie odczuwa takiej potrzeby. Zamiast tego prześciga się w wykrzykiwaniu żądań i przebieraniu nóżkami, kto pierwszy poprze kolejny „bojowy protest”. Zamiast solidnej, merytorycznej pracy nad określeniem źródeł biedy i wykluczenia, mamy buńczuczne oświadczenia i „solidaryzowanie się ze słusznymi postulatami”, jakie by one nie były. Nie jest ważne, kto najbardziej potrzebuje pomocy i w jakiej formie – serca wszelkiej maści „wrażliwców społecznych” najłatwiej, wręcz automatycznie, można podbić głośnym i emocjonalnym wrzeszczeniem. Jest tylko jeden problem – ci naprawdę słabi, biedni i wykluczeni, rzadko kiedy mają siłę, by głośno wrzeszczeć...

„Radykalizm” tych, którzy popierają każdy protest bez analizowania jego sensu, przyczyn i skutków, przypomina małego, słabego psa, który zza ogrodzenia szczeka ile sił, ale po wypuszczeniu za furtkę podkula pod siebie ogon i zmyka przed własnym cieniem. Prawdziwi radykałowie nie muszą się licytować w wydawaniu bojowych oświadczeń i w ultra-rewolucyjnej propagandzie. Wystarczy im, że robią rzeczy sięgające sedna problemów. Niedawno odwiedziła Polskę obywatelka Argentyny, Rosa, pracownica fabryki ceramicznej Zanon, w której robotnicy przejęli władzę i sami prowadzą produkcję, osiągając lepsze wyniki (wielkość produkcji i wysokość zysków) niż w czasach, gdy zakładem zarządzał „pan i władca” prywatny właściciel, inwestor zagraniczny. Zacytuję fragment wywiadu, którego Rosa udzieliła „Obywatelowi” (ukaze się on w nr 44), a który znakomicie kontrastuje z mentalnością polskich radykalnych pyskaczy. Na pytanie Piotrka Bielskiego, jak ocenia rządy centrolewicowego prezydenta Argentyny, Rosa

odpowiedziała tak: „Kirchner osłabił silny w Argentynie ruch bezrobotnych. Wprowadził zasiłki, dzięki czemu »kupił« sobie część z nich. Jesteśmy przeciwni wypłacie zasiłków i bierności – jesteśmy za tym, żeby dążyć do stworzenia możliwości pracy dla każdego”. Rosa opowiada też, że bez pardonu wyrzucono z fabryki tych, którzy kradli wspólne mienie lub bumelowali.

Jeśli polskie środowiska prospołeczne zaczną kiedyś mówić takim właśnie głosem, jak Rosa – nie zaś głosem napuszonych „bojowych deklaracji”, to może nie tylko zmierzają się z sednem problemów, ale nawet i zdobędą poparcie pozwalające się z nimi zmierzyć skutecznie.

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło: [Obywatel](#)